

Ostatni dzwonek na Litwie

19 stycznia 2019

Masowy strajk w polskich szkołach wisi w powietrzu – i tylko za sprawą nadzwyczaj wymagającej procedury wszczęcia sporu zbiorowego w tej branży trudno dokładnie wskazać, kiedy się rozpocznie. W środowisku wrze, nie cichnie oddolny “protest chorobowy”, coraz silniejsze jest poczucie, że teraz albo nigdy. Do takiego samego wniosku doszli w listopadzie nauczyciele litewscy. Ich protest na chwilę zmusił polityków do wstrzymania oddechu, a to, jak przebiegał i do czego doprowadził może być ważną nauką dla pedagogów w Polsce.



Protest w Wilnie 9 grudnia 2019 r.

Kiedy 9 grudnia przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników Oświaty Litwy Andrius Navickas przemawiał do zgromadzonych na Prospekcie Giedymina, zapewne sam nie mógł do końca uwierzyć, że aż tyle osób poświęciło część niedzielnego popołudnia, by wspólnie domagać się lepszych warunków pracy i płacy dla nauczycieli. Demonstracja nosiła nazwę „Ostatni dzwonek” i była organizowana jako gest solidarności ze strajkiem w szkołach, który trwał już od blisko miesiąca. Ale jej znaczenie wykroczyło poza zamysł organizatorów: razem z pedagogami przyszli protestować lekarze, pracownicy socjalni, strażacy i inni pracownicy budżetówki. Przed rozpoczęciem

wiecu utworzyli, bałtyckim zwyczajem, żywy łańcuch, od budynku litewskiego Sejmu wzdłuż Prospektu Giedymina. Półtora kilometra, sześć tysięcy demonstrantów – w liczbach bezwzględnych może niezbyt wiele, ale w krajach bałtyckich po 1991 r. widok historyczny; pojęcia walki, organizacji i solidarności pracowniczej w zasadzie odeszły tam do lamusa.

– Ruch pracowniczy na Litwie w ostatnich latach nie istniał. Największe centrale związkowe, takie, jak uczestnicząca w dzisiejszym proteście “Solidarność” (Solidarumas), w najlepszym razie formalnie zrzeszały pracowników sektora państwowego. Nie były zainteresowane ani organizowaniem ludzi do walki o wyższe płace, ani nawet tworzeniem komórek wśród zatrudnionych w sektorze prywatnym – opowiada mi Jonas Mickievičius, socjalistyczny aktywista, redaktor marksistowskiego portalu “Kibirkštis” (“Iskra”). – Były sytuacje, jak w przypadku załogi fabryki odzieżowej z Wiłkomierza (Ukmergė), gdy pracownice same zgłaszały się do central, a te piętrzyły trudności, byle nie utworzyć zakładowej struktury.

W kraju, który na początku lat 90. przeszedł szokową transformację, a potem rządzony był na przemian przez konserwatystów i pseudo-socjaldemokratów, ludziom skutecznie wybito z głowy buntowanie się. Niezadowoleni z warunków pracy i płacy w ojczyźnie, gdzie statystyczna średnia zarobków to 700 euro miesięcznie, czuli, że jedyne rozwiązanie to – wyjechać. W ostatniej dekadzie populacja nadbałtyckiego państwa spadła o 12 proc. Spis ludności z 2011 r. był dla rządzących w Wilnie wstrząsem – liczba stałych mieszkańców kraju skurczyła się z 3,6 mln do trzech milionów, a i te szacunki mogą być zawyżone. Równie fatalnie w uszach polityków brzmiały sondaże dotyczące planów młodych ludzi na przyszłość. W niektórych badaniach opinii nawet 82 proc. odpowiadających w wieku licealnym deklarowało, że poważnie rozważają emigrację.

Niespełnione obietnice

Rząd Sauliusa Skvernelisa, koalicja Litewskiego Związku Rolników i Zielonych (partii o trudnym do sprecyzowania ideowym obliczu, najłatwiej byłoby powiedzieć: oportunistycznej) oraz Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej (lewicowej głównie z nazwy), funkcjonujący od 2016 r., próbował drogą minimalnych zmian na lepsze powstrzymać ten zabójczy dla państwa proces. „Dobra zmiana” w oświacie miała być następna i była zapowiadana ze szczególnym rozmachem. Stawki najgorzej opłacanych w Europie litewskich pedagogów miały wzrosnąć o 20-25 proc., a mniej oszczędni w obietnicach politycy napomykali nawet o skoku wynagrodzeń o tysiąc euro (sic!). Gwaracją podwyżek miała być zmiana filozofii wynagradzania. Minister Jurgita Petrauskienė, bezpartyjna bizneswoman, która nigdy nie pracowała w szkole, tłumaczyła, że po reformie nauczyciel otrzyma wynagrodzenie zarówno za godziny pracy przy tablicy, jak i za czas spędzony na prowadzeniu kół zainteresowań, pracy z uczniem zdolnym czy z uczniem o specjalnych potrzebach, wycieczki.

Kiedy jednak nauczyciele zobaczyli w praktyce nowy system, nazwany etatowym, poczuli się oszukani. Zamiast wyznaczyć stałe wynagrodzenie za pracę w określonym wymiarze godzin, twórcy reformy obkładali nauczycieli obowiązkiem drobiazgowego, co do minuty, dokumentowania każdej wykonywanej czynności po to, by na koniec miesiąca dyrektor szkoły mógł taki rejestr podsumować i wycenić. Według Związku Zawodowego Pracowników Oświaty Litwy efekt takiej „dobrej zmiany” mógł być tylko jeden: więcej biurokracji, więcej zbędnej pracy (nauczyciele mieli bowiem nie tylko dokumentować już wykonane zadania, ale i szczegółowo planować przyszłe obowiązki) i łatwy pretekst, by zamrozić zarobki na aktualnym nędznym poziomie lub nawet je obniżyć.

– Reforma okazała się nieprzemyślana, „rozmyta”, nie zawierała nawet jednoznacznego algorytmu wyliczania pensji. Po jej

wprowadzeniu każda szkoła mogłaby interpretować zasady wynagradzania po swojemu, wprowadzać różne metody wyliczania zarobków – ocenia projekt Romualda Poszewiecka, dziennikarka i radna Wilna, z pochodzenia Polka. – Ponadto zapewniano, że nowy system wypłat sprawi, że zarobki wzrosną. A w rzeczywistości liczba pieniędzy do podziału się nie zmieniła – każda szkoła nadal dysponowała tym samym budżetem!

Dyrektor Gimnazjum im. Michała Balińskiego w Jaszunach Mirosław Mickielewicz w rozmowie z "Kurierem Wileńskim" wyliczył, ile zarobili na reformie ci nauczyciele, których pensje faktycznie wzrosły. W najlepszym razie wyszły mu kwoty w granicach 30-60 euro, przeciętnie – kilkanaście euro. Zapowiadane 25 proc. gdzieś wyparowało.

Zryw

12 listopada organizacja kierowana przez Andriusa Navickasa ogłosiła bezterminowy strajk. Liczba szkół, które odpowiadały na wezwanie, stale rosła: zaczęło się od sześciu placówek, skończyło na blisko setce. Gniew pedagogów narastał w miarę kolejnych aroganckich gestów rządu, jak wypowiedź premiera Skvernelisa z 13 listopada, w której szef rządu stwierdził, że nie widzi żadnych powodów, dla których nauczyciele mieliby być niezadowoleni, bo przecież uśredniona symulacja wynagrodzeń po reformie wykazuje podwyżkę rzędu 14 proc. Albo komentarze minister oświaty Jurgity Petrauskienė, oskarżającej związki zawodowe o manipulowanie nauczycielami, rozpowszechnianie fałszywych informacji i odciąganie od pracy.

W pierwszych dniach protestu związkowcy byli w swoich postulatach bardzo ostrożni.

– Należałoby znaleźć kompromis pomiędzy starym a nowym systemem wynagrodzeń, który byłby jasny, zrozumiały dla wszystkich i żeby wszyscy wiedzieli, jaką pracę wykonują i jakie wynagrodzenie za nią dostają – mówił jeszcze 14 listopada Navickas. Wspominał również o tym, że dobrze byłoby,

z korzyścią dla wszystkich, zmniejszyć liczbę uczniów w klasach. Ale strona rządowa pozostawała niewzruszona, twierdząc, że więcej pieniędzy na oświatę nie ma, podczas gdy protestujący, skoro już zobaczyli, że skuteczna organizacja strajku jest możliwa, poszerzyli katalog postulatów o żądanie podwyższenia płac wszystkich nauczycieli o 20 proc., a także o ustalenie, że podstawowy nauczycielski etat to 18 godzin przy tablicy i 18 godzin na inne czynności. Upomniano się także o dodatkowe pieniądze dla pracujących w przedszkolach i najmłodszych oddziałach szkół podstawowych. I tylko w tej ostatniej kwestii rząd zasugerował, że jest gotów pójść na ustępstwa.

Aby zmusić resort do rozmów, 28 listopada grupa kilkudziesięciu nauczycielek i nauczycieli rozpoczęła protest okupacyjny na terenie Ministerstwa Oświaty. Dopiero wtedy rząd zrozumiał, że strajkujący są naprawdę zdesperowani. 30 listopada w ministerstwie odbyły się rozmowy, które ciągnęły się trzynaście godzin. Na koniec padła deklaracja: rząd będzie szukał pieniędzy na prawdziwe podwyżki, a system etatowy będzie udoskonalony.

Część strajkujących szkół słusznie uznała, że to kolejny zestaw niepewnych obietnic i kontynuowała protest. Wnioski wyciągnęła również litewska sejmowa opozycja. Ludzie, którzy nigdy nie interesowali się losem pracowników i partie, które nic dobrego dla nich nie zrobiły, będąc przy władzy, nagle „okazali się” ich obrońcami.

„Przyjaciele ludu”

Po stronie nauczycieli, a równocześnie przeciwko “premierowi, który nic nie rozumie”, zaczął głośno występować znany dziennikarz telewizyjny Andrius Tapinas, reprezentujący na co dzień dość typowy konserwatywno-neoliberalny styl myślenia.

Także czołowi politycy konserwatywnego Związku Ojczyzny – Litewskich Chrześcijańskich Demokratów od początku grudnia

“wyrażali zaniepokojenie” brakiem dialogu w oświacie i atakowali rząd za niezrozumienie oczekiwań nauczycieli. Założyli przy tym, że ludzie, zadowoleni z faktu, że ktoś nagłaśnia ich postulaty, zapomną o tym, że prawica jak najbardziej przyczyniła się do dzisiejszego żałosnego stanu litewskiego szkolnictwa. – W każdej kadencji Sejmu władze uważały za swój obowiązek wprowadzić w oświacie jakąś “rewolucyjną zmianę” – mówi Romualda Poszewiecka. – Zmiany te były wymyślane w gabinetach, nie na podstawie życiowych doświadczeń. Szkoły nie nadążały wprowadzać nowości. Pracę nauczycieli zbiurokratyzowano do tego stopnia, wprowadzono tyle obowiązkowej papierowej roboty, że na pracę z dziećmi zostało bardzo mało miejsca.

Konserwatyści, lejąc krokodyle łzy, wzywali nawet do zerwania głosowania nad budżetem na 2019 r., pod pretekstem potrzeby jego przepracowania w taki sposób, by uwzględniał żądania pedagogów. Był to wyjątkowy przykład obłudy. Litewska prawica zawsze ignorowała bowiem potrzeby pracowników. Teraz również jej celem było jedynie doprowadzenie do upadku rządu i rozpisania nowych wyborów. Konserwatyści startowaliby do nich z dobrej pozycji – to oni, z kilkuprocentową przewagą nad Zielonymi i Rolnikami, są od jesieni na pierwszym miejscu w sondażach.

Obrończynią nauczycieli została również prezydent Dalia Grybauskaite, która w przyszłorocznych wyborach wprawdzie startować już nie może, ale bardzo chciałaby zabezpieczyć sukcesję dla osoby przez siebie wskazanej. – Rozmowy, które minister w bardzo nieodpowiedzialny sposób prowadzi z pedagogami, świadczą o poważnych problemach tego rządu: braku szacunku do nauczycieli oraz niezdolności do wdrażania zainicjowanych przez siebie reform – oznajmiła na początku grudnia.

Czy protestujący wierzyli w szczerść takich “obrońców”? Niektórzy, mimo wszystko, tak. To smutne, ale zrozumiałe, komentuje Jonas Mickievicius. Litewscy pracownicy po całych

dekadach ignorowania widzą nadzieję w każdym publicznym geście poparcia dla swoich postulatów. Nieważne, kto go wykonuje – podkreśla aktywista.

Czy to są nierealne postulaty?

5 grudnia minister Petrauskienė została zdymisjonowana. Przy okazji premier usunął z rządu także Kęstutisa Navickasa, ministra środowiska i zapowiedział odejście szefowej resortu kultury Liany Ruokytė-Jonsson, chociaż przeciwko nim strajkujący bynajmniej nie występowali. Pokaz dobrej woli okazał się demonstracją kompletnego niezrozumienia sytuacji: Skvernelis wykonał gest typowo polityczny, podczas gdy protestujący nieustannie podkreślali, że w ich walce o żadną politykę nie chodzi.

Takie też głosy przeważały w tłumie protestujących 9 grudnia w Wilnie.

– Walczymy o wyższe płace – powiedziała mi Giedra, młoda lekarka współtworząca pierwsze ogniwa żywego łańcucha w pobliżu gmachu Sejmu. Przyszła przez solidarność z nauczycielami, ale także w poczuciu, że i w jej zawodzie płace są nieadekwatne do wysiłku wkładanego w studia i dalsze kształcenie, a także w codzienną odpowiedzialność. – Ten rząd nas zawiódł, ale nie chcemy go obalać, tylko przekonać, że nasze potrzeby nie są drugorzędne ani wymyślone. Naprawdę jest nam coraz trudniej!

Ieva, nauczycielka z Kowna, która zajęła miejsce w łańcuchu na Placu Łukiskim, też przekonywała, że nie przyjechała do stolicy, by zajmować stanowisko polityczne. – Chcemy dobrej szkoły, dobra uczniów – podkreślała. – Już teraz dzieciom nie służy nauka w klasach liczących blisko 30 osób, gdzie nie sposób skupić się na potrzebach każdego dziecka. Chcemy też wypłaty, która oddaje nasz wysiłek. Wyliczanej w sprawiedliwy sposób, a nie według uznania. Czy to uczciwe, że w nowym systemie nauczyciele wykonujący dokładnie tę samą pracę mogą

zarabiał różne kwoty?

– Chodzi nam o bardzo proste rzeczy: żeby w klasach było mniej dzieci, żeby za godzinę lekcyjną płacono nam o jedno euro więcej, żeby pamiętano o uczniach klas przedszkolnych, chcemy sprawiedliwego systemu wynagrodzeń. Czy jest to nierealne? – pytał wreszcie Andrius Navickas, gdy zabrał głos ze sceny na placu Kudirki.

Rząd nie mógł pozostać obojętny na bezprecedensową w najnowszej historii Litwy mobilizację pracowników. Ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że poparcie konserwatystów dla strajkujących, choć czysto koniunkturalne i nieszczerze, część wyborców jednak do protestu zniechęciło. Skvernelis, były szef litewskiej policji, zamiast rozmów wybrał siłę i tworzenie faktów dokonanych.

Uderzenie

12 grudnia, trzy dni po wielkiej demonstracji w Wilnie, premier doprowadził do przegłosowania przez Sejm budżetu bez dodatkowych funduszy dla nauczycieli. Zdecydował za to o podniesieniu wydatków na wojsko do poziomu 2,05 proc. PKB. Aby natomiast jeszcze mocniej zniechęcić pracowników do organizowania się i demonstrowania, oskarżył nauczycieli i polityków ich wspierających o pozostawanie pod wpływem Kremla. Podobne oskarżenia wygłosił Ramūnas Karbauskis, magnat agrobiznesu, przewodniczący i sponsor Partii Zielonych i Rolników. Oznajmił on, że premier nie bez powodu zamierza polecić Departamentowi Bezpieczeństwa Państwowego (VSD), czyli litewskim służbom, uważne przyjrzenie się, kto zainspirował i wspierał strajk.

Na potwierdzenie, że nie są to puste pogróżki, 19 grudnia ogłoszono, że wykryta została cała siatka szpiegowska pracująca na rzecz Moskwy, skupiona wokół byłego lidera Socjalistycznego Frontu Ludowego Algirdasa Paleckisa. Nie padło więcej nazwisk, a oskarżenia pod adresem Paleckisa,

byłego posła na litewski Sejm i negocjatora podczas starań Wilna o przyjęcie do UE, przyjął z niedowierzaniem nawet były przewodniczący VSD Gedinimas Grina. Szkodliwa działalność siatki miała polegać na próbach wpływania na litewską politykę, w tym programy partyjne, poprzez wzmacnianie rosyjskiej soft power. Paleckis przestał być parlamentarzystą w 2007 r. i od tego czasu bez powodzenia starał się o powrót do Sejmu, Socjalistyczny Front Ludowy to organizacja o bardzo niewielkim praktycznym znaczeniu. W przestrzeni publicznej pojawia się, organizując małe, czasem kilkusobowe demonstracje przeciwko NATO (za neutralnością) lub przeciw gloryfikowaniu litewskich kolaborantów z nazistami. W jaki sposób mieli wpływać na o wiele potężniejsze i zamożniejsze od siebie partie? Tego opinii publicznej nikt nie wytłumaczył. Pozostało wrażenie, że atak na litewską mikrolewicę był równocześnie przykryciem tematu protestów pracowniczych, demonstracją siły państwa i wyprzedzeniem sytuacji, gdy związki zawodowe i ich aktywni członkowie zaczną choćby nieśmiało poszukiwać jakiejś konsekwentnej politycznej reprezentacji.

Więcej się wygrać nie dało

Afera Paleckisa skutecznie przykryła kolejne tury negocjacji i zakończenie protestu na terenie Ministerstwa Oświaty, gdzie grupa najbardziej zdeterminowanych nauczycielek i nauczycieli pozostawała do 19 grudnia. Gdy wychodzili, Andrius Navickas przekonywał, że strajkowanie podczas Bożego Narodzenia i tak nie ma większego sensu, protest będzie mógł zostać wznowiony w 2019 r., a poza tym podczas rozmów 17 i 18 grudnia osiągnięto tyle, ile było możliwe.

Realnie nauczyciele mieli w ręku tyle samo, co na początku: obietnice. Rozporządzenie ministra, które zmniejszy dowolność w opłacaniu pedagogicznego etatu, zagwarantuje określoną płacę przy konkretnej liczbie godzin w klasie i poza nią, miało dopiero zostać podpisane. Nie było przy tym już mowy o

podwyżkach od początku 2019 r., a jedynie od nowego roku szkolnego. Z drugiej strony symboliczne ustępstwa, do jakich zmuszono rząd, są nie do przecenienia. Gabinet Skvernelisa musiał podjąć określone zobowiązania, zamiast po raz kolejny zlekceważyć i „przeczekać” pracowników. Postawiony w nieoczekiwanej i trudnej sytuacji rząd pokazał swoją prawdziwą twarz – już nie polityków zatroskanych o dobro wspólne, innych od starej skorumpowanej elity, lecz bezwzględnych graczy, którzy woleli uruchomić i zwielokrotnić lęk przed Rosją, niż wygospodarować fundusze na podniesienie poziomu życia obywateli.

Co będzie dalej? 15 stycznia tekę ministra oświaty po raz trzeci w karierze objął Algirdas Monkevičius, zapowiadając zmniejszenie napięć w oświacie i wspólną ze związkami pracę nad ustaleniem satysfakcjonującego systemu wynagradzania pedagogów. Czy były nauczyciel szkolny i akademicki, dawniej należący do socjalliberalnego Nowego Związku, obecnie bezpartyjny, podoła temu zadaniu? Pewne jest, że związki będą czujnie patrzeć mu na ręce, a część nauczycieli nie jest zadowolona z efektów protestu i jest gotowa organizować nowy. Przekonali się, że stanowczość opłaca się bardziej niż pokorne godzenie się z losem.

Autorstwo tekstu i zdjęcia: Małgorzata Kulbaczewska-Figat

Źródło: Strajk.eu